



Organizacya pracy krajoznawczej w Finlandyi.

Wszystkie kraje i społeczeństwa wyższej kultury przystąpiły w ostatnich latach do intensywnej pracy nad poznaniem kraju rodzinnego, nad pogłębieniem wiedzy o nim i nad szerzeniem jej wśród ogółu. Najwięcej ta organizacya i praca wydoskonaliła się może w Niemczech i we Francyi, jest też tam coprawda w nadzwyczaj wydatny sposób popierana przez rząd, instytucye wyższe naukowe i społeczne. Tam przyczyniają się wszystkie warstwy społeczeństwa do zbierania i opracowywania materiałów krajoznawczych, mimo, że pracuje tam jednocześnie od długich dziesiątków lat zwarte i liczne grono uczonych, niezależnie od organizacyi krajoznawczych, nad przyrodą żywą i nieżywą, nad społeczeństwem oraz objawami i zabytkami jego pra-




TYP Z POD BUSKA.

Fot. z zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

cy. Tem ważniejsza jest organizacya krajoznawcza w krajach, gdzie liczba osób pracujących na polu krajoznawstwa jest mała, środki popierające jego cele, szczupłe, przygotowanie ogółu do współdziałania i zrozumienia pracy niewystarczające. Tem donioślejsza jest praca rozrzuczonych po kraju jednostek, gotowych do ofiar, poświęcających czas i siły fizyczne i intelektualne: bo wszyscy oni, badając i opisując przyrodę i zjawiska kultury bliższego otoczenia swoich stałych siedzib, mogą się przyczynić w znacznej mierze do rozszerzenia i pogłębienia badań naukowych, do podźwignięcia ogólnego wykształcenia społeczeństwa, byle praca ich była celowa i ścisła.

Pod tym względem przykładem, godnym podziwu i naśladowa-



nia, może nam być Finlandya, gdzie, mimo szczupłej liczby ludności (3 miliony), rozrzuconej na ogromnej przestrzeni (370.000 km. kw.), wzięto się skutecznie do ogólnej pracy krajoznawczej. Podajemy poniżej o niej wiadomości, oparte na sprawozdaniu R. Boldta w „Naukowych Wiadomościach Tow. Geogr. w Finlandyi, 1908“.

Z początku badania krajoznawcze w Finlandyi były ściśle związane z założoną w r. 1640 wszechnicą w Abo, gdzie liczni profesorowie i uczniowie uniwersytetu zajmowali się badaniem przyrody i kultury rodzinnego kraju. Różne jednak wypadki i zawieruchy polityczne lub ekonomiczne odbijały się na tej cichej, ale spokojnej i wytrwałej pracy. Dopóki też praca krajoznawcza pozostała ograniczona do szeregu jednostek, nie mogła wydać plonu obfitszego. Dopiero po założeniu licznych Towarzystw (historycznych, archeologicznych, geograficznych, turystycznych i t. d.) praca krajoznawcza zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Ale, po pierwsze, jeszcze zawsze pracą tą zajmowały się tylko miasta centralne, stolice nauki i pracy intelektualnej, po wtóre, krajoznawstwem zajmowano się nie systematycznie, raczej przypadkowo. Dopiero rozszerzenie organizacji krajoznawczej na całą prowincję, wzbudzenie zainteresowania do podobnych prac w szerszych kołach ogółu z jednej, a usystematyzowanie różnych gałęzi tych prac, skupienie wszelkich możliwych kierunków pod jednym punktem widzenia—z drugiej strony, wywołało świetny rozwój pracy krajoznawczej w tym kraju.

W jaki sposób zorganizowano pracę krajoznawczą w Finlandyi? Z początku przez zakładanie wszechstronnych muzeów krajoznawczych i również wszechstronnych towarzystw krajoznawczych w różnych częściach kraju. Tak powstało w Finlandyi do r. 1890 pięć muzeów, do r. 1900 dalsze 6, a do r. 1908 dalsze 5, razem w ciągu niespełna 30 lat—16 muzeów krajoznawczych prowincjonalnych. Stowarzyszenia krajoznawcze prowincjonalne powstały w r. 1883 w Kuopio, w r. 1894 w Lojo, w r. 1901 w Björneborg, inne jeszcze w Uleåborg, Borgå, Ekenäs, Hangö i Wiborg, ostatnio w r. 1906 w Nyland. Stowarzyszenia te miały następujące główne cele: 1) badania krajoznawcze w najbliższej oko-

licy, zebranie i opracowanie materiałów krajoznawczych; 2) publikowanie osiągniętych wyników.

Wnet odczuto potrzebę zjednoczenia akcji krajoznawczej, zespolenia pracy rozmaitych stowarzyszeń i muzeów, w celu wyciągania korzyści ogólnych z doświadczeń instytucji pojedynczych i stworzono w maju r. 1908 „Wydział centralny dla badań krajoznawczych w Finlandyi“, którego zadaniem jest:

- 1) łączenie w pracy wszystkich stowarzyszeń na polu krajoznawstwa;
- 2) popieranie tych stowarzyszeń radą i zapomogami;
- 3) zbieranie coroczne sprawozdań z czynności tych stowarzyszeń i składanie ich w archiwum centralnem;
- 4) wydawanie instrukcyi dla badań krajoznawczych, opracowanych przez odpowiednich fachowców;
- 5) tworzenie bibliotek z zakresu rodzimego i obcego krajoznawstwa;
- 6) wydawanie własnego czasopisma, poświęconego sprawom krajoznawstwa w Finlandyi; wreszcie
- 7) urządzenie corocznie zjazdów delegatów stowarzyszeń, pracujących na polu krajoznawstwa, i jego przyjaciół.

Zadanie tego centralnego zarządu jest tem ważniejsze i donioślejsze, że kieruje on też czynnością innych organizacji luźnych, zajmujących się krajoznawstwem, a nie stojących z nim w bliższej styczności. Do tych organizacji należą związki akademickie, które oddawna pracują na polu krajoznawstwa: związek wyborski wysłał w latach 1880-1890 dziewięć wypraw etnograficznych (20 osób) i wydał na te cele 3000 marek. Związek nylandzki wydał na podobne cele już do 1879 r. 9000 marek, a zbiory jego złożone są w Narodowem Muzeum Finlandyi. Ten sam związek wydał w latach 1884-1896 sześć tomów „Nyland“, w którym zebrano słownictwo narzeczy okolicy, 700 podań i bajek ludowych, 770 pieśni i melodyi ludowych, rozprawki o obyczajach i poglądach ludowych. Od roku 1895 pracuje ten związek akademicki nad wydaniem 3-tomowego opisu historyczno-geograficzno-etnograficznego kraju Nyland. W tym



samym kierunku, choć z niejednakowem powodzeniem pracowały i pracują inne związki akademickie. Zbieraniem materiałów krajoznawczych zajmują się również stowarzyszenia młodzieży, których jest w Finlandyi około 860 (66000 członków). Szczególnie pod względem folklorystycznym mogą się one w znacznej mierze przyczynić do poznania kraju, zwłaszcza pod umiejętnem kierownictwem.

Wszystkie te stowarzyszenia, korporacje i instytucje, zajmujące się krajoznawstwem,

pracują dziś już z planem z góry ułożonym, odpowiadającym wymaganiom naukowym, a równocześnie prostym i praktycznym: dla pojedynczych działów opracowują specjalne wskazówki dla krajoznawców. W ogóle idzie tu o odtworzenie całokształtu zjawisk danej okolicy: praktycznie rozpada się praca na dział przyrody martwej, przyrody żywej, geografii i statystyki, etnografii i folkloru, historii i sztuki, życia społecznego i wyższej kultury.

Dr. Ludomir Sawicki.



Okolice Warszawy.



I.

Szeroko zaległa smętna i melancholijna równina mazowiecka, wśród której dźwiga swe mury i wieżycę stolica kraju.

Okolice Warszawy są tak pełne smutku, jak owe dzieje dynastji Wazów, co przeniosła na Mazowsze koronny majestat zygmunto-wskiego Krakowa.

Tam wiążą się podgórza Karpackie ze skałami grzbiętu Krakowsko-Wieluńskiego, rzeźba gruntu układa się artystycznie i efektownie, — tu zupełna płaszczyzna, nie urozmaicona, bez fantazyi, bez

połotu, a jedynie tylko strome zbocze lewego brzegu Wisły nadaje trochę charakteru i malowniczości krajobrazowi.

I byłoby zupełnie posępnie i smutno w okolicy miasta, gdyby nie wrodzone człowiekowi poczucie piękna, które stara się przyozdobić najuboższą nawet siedzibę, a w najmniej efektowne krajobrazy potrafi tchnąć ducha i cisnąć w nie jasne promienie piękna.

Nie posiadając do rozporządzenia gór, wodospadów, jezior, z konieczności musiała okolica Warszawy posilkować się innymi efektami krajobrazu, jak np. woda i zadrzewienie. Te dwa motywy dostarczyły materiału do ozdoby znaczniejszej części podmiejskich siedzib magnackich i miejscowości wycieczkowych. Wyzyskano też efekt krawędzi lewego brzegu wiślanego bądź w samym mieście, bądź też za jego granicami.

Do efektów krajobrazu dołączyły się z biegiem czasu pamiątki i wspomnienia historyczne, dodając uroku miejscowościom, wiążąc je z imionami i faktami drogiemi sercu.

W ten sposób smętna okolica ożyła, zadręgała pięknem, wzbudziła zainteresowanie, a szczerzej mówiąc — powinna wzbudzić zainteresowanie.

Sumując efekty krajobrazu i wspomnienia historyczne, nie będzie tego razem tak bardzo dużo.

Z szaloną szybkością rozwijające się miasto najbliższe okolice podmiejskie wchłonęło w siebie. Taki los spotkał myśliwski dwór w puszczy książąt Mazowieckich—Ujazdów, tak został wciągnięty w obręb miasta Mokotów, tak zniknęły „przez najpierwszych Rymotwórców naszych sławione Powązki“, tak Czyste „gdzie palono sztuczne ognie i puszczano balony“.

A okolice dalsze albo straciły swych potężnych opiekunów i doszły do zupełnego upadku, albo też przez obecnych posiadaczy są zazdrośnie zamknięte, co najlepiej widać na bramie parkowej w Jabłonie, gdzie dawny stary łaciński napis „Salve“ jest przetłumaczony na polski: „Wejście surowo wzbronione“.

Kto zwiedza dziś Nieporęt, „ulubione przed laty Jana Kazimierza mieszkanie“, kto w poniedziałek Zielonych Świątek przepływa do Gołdzinowa na „promach ozdobionych masztami, w gałązki brzeziny owiniętymi, wstążek mnóstwem ukraszonymi“, kto zna w Królikarni „piękny domek, ozdobney Architektury z kopułą, skąd propekt na Wilanów i Łazienki godzien jest widzenia“; kto wie, gdzie leżą Gorce „miejsce sławne okopaniem się Hetmana Zamoyskiego“; czy wielu Warszawiaków zna Marymont, „pałacyk przez Maryrę Kazimierę Sobieską wystawiony“, lub Tarchomin, „piękny wiejski domek na prawym brzegu Wisły“?

Członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Łukasz Gołębiowski, drukując już w drugim wydaniu swoje „Opisanie Historyczno-Statystyczne Miasta Warszawy“, (Warszawa. Nakład i druk N. Glücksberga księgarza i typografa Król. Warsz. Uniwer-

sytetu 1827) nawołuje do pracy: „piękne Warszawy okolice na rymotwórcze opisanie, iakie pozyskały mieysca Krakowowi przyległe, zaśluguia“.

„Ziemia“, dając w pierwszym swym numerze opis Falent i ich pamiątkowej tablicy, podjęła hasło rzucone przez Gołębiowskiego. Praca ta winna iść dalej i musi być zbiorową, gdy-bowiem ogół okolic Warszawy nie zna, jak zresztą nie zna i samego miasta, to są jednostki rozmiłowane i w mieście i jego okolicy, i znające je wybornie. Od tych miłośników, co wielokrotnie zbiegli podmiejskie zakątki, co mieli sposobność obserwować, badać, notować szczegóły i detale zwiedzanej miejscowości, oczekiwać i żądać trzeba podzielenia się wiadomościami z ogółem, zachęcenia go do wycieczek podmiejskich.

Ostatnia karta „Opisu“ Gołębiowskiego głosi: „Był czas, kiedy powóz codzienny, Journalier zwany, czyli dylizans na kilkanaście osób, latem w oznaczoney godzinie znajdował się w pogotowiu, osoby chcące zwiedzać Bielany, Młociny, tam przewozić. Życzyć należy, ażeby ciągle chęć udawania się w te i inne okolo Warszawy będące nadobne posady, zwrot tego zakładu potrzebnym i korzystnym dla przedsiębiorców uczyniła“.

Biedny członku Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 83 lata upłynęło od chwili, gdyś postawił ostatnią kropkę po swoim dziele; rozwinęła się wprawdzie „ciągle chęć do nadobnych posad“ nie tylko okolo Warszawy, lecz nawet i do Władystoku, ale Journaliera do wycieczek podmiejskich dotychczas jeszcze nie ma.

Al. Janowski.



WISŁA PRZY UJŚCIU ŚWIDRA.

Rys. Wł. Natęcz.

KOLONIE POLSKIE W PARANIE.

Osadnictwo polskie w Brazylii skierowało się przeważnie do stanu Parana, leżącego pomiędzy 23° a 26° szerokości południowej. Stany bardziej północne, z powodu zbyt gorącego klimatu, nie nęciły osadników, jakkolwiek plantatorzy kawy wszelkimi siłami starali się skierować ku tym stanom prąd emigracyjny. Stany bardziej południowe, jak Santa Catherina, Rio Grande do Sul, ze względów klimatycznych bardziej odpowiednie do osadnictwa, niż Parana, gdyż mają klimat umiarkowany, stany te w chwili gorączki emigracyjnej zajęte już były przez kolonistów niemieckich i włoskich. Większość więc osadników polskich osiedliła się w stanie Parana, zajmującym pod względem klimatu miejsce pośrednie pomiędzy krainami gorącymi a umiarkowanymi.¹⁾

Byt i losy kolonistów polskich w Brazylii, a specjalnie w Paranie, opisywane były przez licznych podróżników i pisarzy polskich (np. Siemiradzki, Kłobukowski, Hempel, Warchałowski i inni). Znaczna część tych opisów uległa już pewnemu przedawnieniu i wymagałaby uzupełnień, dotyczących stosunków z lat ostatnich. Sądzymy więc, że nowsze wiadomości o osadnictwie polkiem w Paranie byłyby dla czytelników naszych interesujące. Przypuszczając, że poglądy cudzoziemca na kolonizację polską mogły by się wydawać bardziej ciekawymi, a przytem bardziej może bezstronnymi, obiektywnymi, skorzystamy tu z dzieła pod tytułem „Le Brésil au XX siècle“, napisanego przez P. Denis. Autor ten w r. 1907 zwiedził najstarsze kolonie polskie w Paranie około Curitiba, a następnie rozejrzał się dokładnie w stosunkach nowszych kolonii w zachodnich częściach tego stanu i w dorzeczu rzeki Jguassu. Podajemy więc w streszczeniu urywek z dzieła tego autora, dotyczący kolonizacji polskiej w Paranie.



Kolonizacja Parany zaczęła się stosunkowo niedawno, bo dopiero od połowy zeszłego wieku. Do tego czasu na całym obszarze stanu, obszarze nieco większym niż połowa Francji, mieszkało zaledwie kilkanaście tysięcy ludzi. Pierwotni osadnicy, Niemcy, którzy się tu przesiedlili z sąsiedniego stanu Santa Catherina, w krótkim czasie porzucili pracę na roli, i osiedliwszy się przeważnie

w głównem mieście kolonii Curitiba, zajęli się wyłącznie handlem. Natomiast zaczęli napływać osadnicy innych narodowości, a najwyższy ruch kolonizacyjny objął okres czasu pomiędzy rokiem 1876—79. Osadnicy osiedlali się wyłącznie naokoło Curitiba, tam więc znajdują się najstarsze kolonie stanu. Zwiedzając te kolonie, można tam znaleźć przedstawicieli dwudziestu narodowości; dwie jednak narodowości przeważają: Włosi i Polacy. Osadnicy przeszli tu już oddawna trudny okres początkowy. Zwykle obok nędznej chaty, w której mieściła się rodzina w pierwszych latach, a która obecnie przemieniona jest na stajnię, wznosi się nowy dom z cegieł, tynkiem pokrytych, ze swym ogrodem pełnym róż kwitnących. Domy nie są już, jak niegdyś, rozrzucone, zdała od siebie, każdy w środku swego działu; obecnie zgrupowane są razem. Chaty budowane są zwykle naokoło kościołów, które zachowały jeszcze architekturę rodzinnego kraju osadników. Polacy są dobrymi cieślami i lubią budować wielkie dzwonnice z tarcic z sosny parańskiej.

Różne narodowości zaczęły się już mieszać ze sobą. Są rodziny mieszane: włosko lub polsko-brazylijskie. Miasto, środowisko wspólne, gdzie się wszyscy spotykają, wywiera duży wpływ na mieszanie się ze sobą ras i pojęć. Polacy nauczyli się powoli od swych sąsiadów picia wina i uprawy latorośli winnej, rośliny świętej dla Włocha. Niejeden dom polski posiada ogrody i własne szczepy winne.

Polacy, jak się zdaje, większe mają zdolności kolonizacyjne, niż Włosi. Istotnie, rodziny włoskie są w bardzo silnej ze sobą łączności; dzieci nie odłączają się od rodziców po zawarciu małżeństwa, i jedno domostwo zawiera często trzy pokolenia. Polacy, przeciwnie, mają ten zwyczaj, że gdy syn się ożeni, kupuje sobie nową działkę ziemi, a jeśli jego fundusze są niedostateczne, stara się przynajmniej wydzierżawić ziemię, płacąc dzierżawę pod postacią czwartej lub piątej części zbioru. Pierwszy dobry urodzaj pozwala mu wreszcie ustalić się u siebie, gdyż ziemi nie są sprzedawane za gotówkę, i sprzedawca zadawalnia się zaliczeniem. W ten sposób Polacy rozszerzyli swe kolonie naokoło Curitiba szczególnie w kierunku zachodnim. Ale od roku 1885 nie było już w bliskości tego miasta ziem wolnych dla nowych osadników, a tymczasem ruch przesiedleńczy pomiędzy rokiem 1890—96 niezwykle się ożywił. W owym czasie napłynęło do Parany przeszło 50.000 osadników-Polaków. Nowa ta fala emigracyjna musiała

¹⁾ Według obliczeń Siemiradzkiego w całej Brazylii w r. 1896 liczyć można było sto kilkanaście tysięcy osadników Polaków, z tej liczby 75000 w Paranie.



się skierować do innych okolic stanu. Wtedy to powstały dwie główne grupy nowych osad: jedna w dolinie rzeki Jguassu, płynącej ku zachodowi do rzeki Parany i przecinającej całą wyżynę; druga grupa rozpostarła się dalej jeszcze na północ-zachód od Curitiby. Te zachodnie kolonie polskie powstały więc przed 15 laty i zaledwie wyszły ze stanu niepewności, na jaką jest narażona ciężka praca rozpoczynającego osadnika.

W obrębie rzeki Jguassu jedną z głównych kolonii jest Rio-Claro. Obejmuje ona duży obszar szerokości 40 kilometrów. Wzdłuż wielkich dróg prostolinijnych rozłożone są działki ziemi, mające kształt prostokątów. Bok główny takiego prostokąta, t. j. przylegający do drogi, ma 250 metrów długości, boki, idące wgląd—po 1000 metrów, a więc każda działka obejmuje 25 hektarów powierzchni. ¹⁾

Od frontu każda działka posiada ogrodzenie drewniane. Domki drewniane otoczone są brzoskwiniami. To drzewo owocowe przyswojone zostało przez Polaków, i w czasie kwitnięcia cały obszar kolonii pokryty jest różnobarwnymi plamami.

Każdy dom ma swe pole żyta. Uprawa żyta wprowadzona tu została przez Polaków. Jestto, jak się zdaje jedyna ojczyzna roślina uprawna, jaką zachowali osadnicy polscy, którzy wogóle pod względem rolnictwa przyjęli zwyczaj tak zwanego „Cabocla“ t. j. tutejszego robotnika brazylijskiego.

Rolnik krajowiec, którego tu właśnie nazywają „cabocle“, przed przybyciem emigrantów jedyny posiadacz lasów brazylijskich, niema istotnie pojęcia o gospodarstwie wiejskiem i racjonalnej uprawie ziemi. Na miejscu, które sobie wybiera na urządzenie pola, poczyna od zrabania lasu toporem. Grupa robotników łączy się razem i po dniu pracy, który jest jednocześnie dniem uczty, obficie skrapianej wódką i urozmaiconej śpiewami, miejsce do uprawy jest przygotowane. Po ścięciu drzew, pozostawiają je na miejscu, a wyczekawszy odpowiedniej chwili, podkładają ogień. Same drzewa nie spalają się w zupełności, ale pożar oczyszcza ziemię z krzaków i zamienia w popiół liście i liany, co daje gruntom niezbędne ulepszenie. Zaledwie ostygną popioły, robotnik wykopuje w ziemi dołki dużą motyką; za nim idzie dzieciak i wysypuje do każdego dołka po kilka ziarn kukurydzy, pokrywając je ziemią, którą nagarnia uderzeniem stopy. Pomiędzy pniami drzew kukurydza dojrzewa; kabokl odwiedza swe pole dopiero wtedy, gdy już trzeba przystąpić do żniwa, niekiedy jednak oszczędza sobie tej pracy, puszczając pomiędzy dojrzałą kukurydzą wychudzone wieprze,

które tu pozostają póty, dopóki znajdują pożywienie. Wtedy kabokl zabiera swą trzodę na sprzedaż do miasta. Dzika roślinność opanowuje napowrót obszar spalonego lasu; na wolno gnijących pniach drzewnych nowy las porasta. Kabokl powraca wówczas dopiero, gdy ziemia, wypocząwszy w ciągu całych pokoleń, będzie mogła dostarczyć znowu równie obfitych zbiorów. W ten sposób rolnik tutejszy marnuje lasy i ziemię. Motyka i topór—to jedyne narzędzie jego pracy; pluga nie zna wcale.

Koloniści polscy w Rio Claro naśladowują kabokla. Wprawdzie są oni rolnikami mniej koczującymi, ponieważ zamknięci są w granicach swych działek, wracają też częściej do tych samych gruntów; następnie nie czekają z uprawą ziemi do czasu, gdy się las rozwinie, lecz, gdy tylko krzaki osiągną kilku metrów wysokości, już zaczynają oczyszczanie gruntu zapomocą wypalania. Ale także nie używają nawozu, nie posiadają pługów. Czas zmieni zapewne te warunki. Użycie pluga obecnie jest niemożliwe wśród lasu, dopóki ziemia pokryta jest pniami zrabanych drzew, których ogień zniszczyć nie zdołał. Gdy pnie przegniją i zostaną zniszczone, osadnicy powrócą zapewne do swych europejskich sposobów uprawy roli i przyzwyczajają się do pracy. W starych koloniach około Curitiby widzimy już obecnie prawidłową uprawę ziemi. Zresztą sami osadnicy postarają się o ulepszenie sposobów gospodarki, gdy wytworzy ich pól pozyskają cenę sprzedażną, gdy się skończy odosobnienie kolonii.

Odosobnienie, odcięcie od świata było istotnie takie, że wywóz produktów stawał się prawie niemożliwym. Nie istniało w bliskości żadne miasto znaczniejsze. Każdy produkt na sprzedaż trzeba było wieźć przynajmniej do Curitiby. A tymczasem brakowało dróg kołowych. Stare drogi brazylijskie przedstawiały widok rozpaczliwy: rozmokłe od deszczów, pełne głębokich wyboi, z mostami spróchniałymi, które zawsze najrozsądniej było omijać. Po takich drogach transportowano towary na grzbietach mułów od działu osadnika aż do rzeki. Szczęściem rzeka Jguassu zdatna jest do żeglugi na rozciągłości 200 kilometrów aż do kaskad, przecinających jej bieg w dolnej części. W okolicach tej drogi naturalnej założono kilka kolonii, które ta rzeka łączy ze sobą. Szalupy parowe, kursujące po Jguassu, napełniały się kukurydzą w Rio Claro i płynęły aż do prądów rzeki, gdzie zboże musiało być przeladowane na kolej żelazną; nareszcie towar przybywał do Curitiby, gdzie, obciążony kosztami transportu, współzawodniczył ze zbiorami osadników okolicy tego miasta. Czy można się dziwić, że w takich warunkach wywóz prawie nie istniał? Z drugiej stro-

¹⁾ 25 hekt. = 44,5 morga.



ny te same trudności transportowe znacznie powiększały cenę artykułów przywozu. W ten sposób osadnicy byliby się znaleźli w położeniu prawie bez wyjścia, gdyby nie poszukali ratunku w zbieraniu i wywozie liści herbaty paragwajskiej tak zwanej mate (herva mate).

Mate ocaliła kolonie Parany. Jest to drzewko, którego liście mięsiste i ciężkie obdarzone są własnościami aromatycznymi, występującymi przy naparzeniu. Zwyczaj picia odwaru mate jest bardzo dawny; panuje obecnie w całej połowie Ameryki południowej, mianowicie w Chile, w Argentynie, w Paragwaju i Urugwaju oraz w pogranicznych z tymi krajami częściach Brazylii. Przygotowuje się mate w tykwie wydrążonej, skąd napój wciąga się do ust małymi łykami zapomocą słomki lub rurki metalowej. Tykwa krąży wkoło, i każdy z niej pije po kolei; nie oszczędza się nawet cudzoziemców. Odmówienie picia mate byłoby uważane za wykroczenie przeciwko zasadom życia towarzyskiego.

Parana jest środowiskiem produkcji mate. Wywóz mate odgrywa tu tę samą rolę, co wywóz kawy w innych częściach Brazylii. Cała Parana pośrednio czy bezpośrednio żyje z transportu, przyrządzenia i handlu mate, a osadnicy osiągają z tej rośliny duże dochody.

Mate nie jest rośliną uprawną; rośnie dziko w lesie; w lesie też odbywa się zbieranie jej liści. Liście natychmiast po zebraniu poddawane są pierwszej operacji, mającej na celu zmniejszenie ich ciężaru przy transporcie, a także zabezpieczenie od gnicia i fermentacji. Suszą je mianowicie na ogniu. Następnie kładzie je się do worków i wysyła do Curitiby, gdzie udoskonalone młyny proszkują liście, rozdzielają na różne gatunki i wypuszczają produkt zdatny już do użytku. Niektórzy szczęśliwsi osadnicy znaleźli na swych działkach znaczną liczbę drzewek mate. Stały się one dla nich majątkiem, zdobytym bez pracy. Ale tacy szczęśliwcy stanowią wyjątek pomiędzy osadnikami.

Wielkie „hervale“, czyli okolice leśne, w mate obfitujące, znajdują się prawie zawsze w głębi kraju, zdala od kolonii. Miejscowości te ożywiają się w porze zbioru. Osiedla się tam cała armia robotników; zaludniają się ścieżyny leśne; zebrane i wysuszone liście muły przewożą do Curitiby, stolicy herbaty paragwajskiej.

Na herwalach prawo zbierania mate wydzierżawia się przedsiębiorcom, którzy podejmują się urzędzenia robót. Każdy z nich buduje specjalny piec do suszenia liści, i ognisko to przedstawia punkt

środkowy małego czasowego stowarzyszenia, które żyje w ciągu kilku miesięcy w głębi lasu pracowicie i samotnie. Jedni robotnicy zajęci są obcinaniem gałęzi drzew, inni suszeniem liści. Kolonie polskie dostarczały od pierwszej chwili znacznej liczby robotników do zbierania mate. Tylko mężczyźni udają się na robotę, kobiety pozostają do pilnowania działek. Mniej odważni stają się prostymi robotnikami, energiczniejsi zostają przedsiębiorcami. Wszyscy wracają do domów z zapasem pieniędzy, przedstawiających ich zarobek lub czysty dochód, i z tych pieniędzy żyją kolonie.

Dochody, otrzymywane ze sprzedaży herbaty paragwajskiej, nie wystarczyły wprawdzie do wytworzenia zamożności w koloniach, nie mniej jednak uchroniły je od ogólnego kryzysu, opuszczenia, być może, zarzucenia nawet osadnictwa i pozwoliły istnieć kolonistom w czasie, gdy ci nie mieli żadnego miejsca zbytu dla swych wytworów rolnych.

Ale epoka zupełnego odosobnienia minęła już dla osadników z chwilą otwarcia linii kolejowej, przecinającej wyżynę; kolej ta ma połączyć w najbliższym czasie południowe stany Brazylii ze stanami środkowymi. W r. 1907 część tej kolei, przecinająca Parane, była już prawie ukończona. Ku północy gałąź, łącząca z portem São Paulo, nie była jeszcze wykończona, ale na południu droga przeniknęła już do stanu Św. Katarzyny. W miejscowości Ponta Grossa urządzono połączenie nowej linii z dawną, prowadzącą do stolicy stanu, a stamtąd do morza.

W ciągu długich lat powolnej budowy drogi osadnicy brali żywy udział w robotach na linii. Po otwarciu komunikacji położenie ich znacznie się polepszyło. Kolej żelazna stała się jakby ożywczą arterią kraju. Ku niej zdążają nowe drogi kołowe; sąsiadujące z nią ziemie pozyskały wartość o wiele wyższą. Wytwory rolne: kukurydza, czarna fasola, manjok i inne nabyły ceny sprzedażnej; ubóstwo znikać zaczęło; życie kolonisty stało się bardziej urozmaicone; powstały zarodki podziału pracy; niektórzy osadnicy stali się rzemieślnikami. Życie moralne i umysłowe zaczęło się również rozwijać na koloniach.

Prócz głównej linii kolejowej, o której wyżej była mowa, projektowana jest budowa kilku innych linii. Niewątpliwie z dalszym rozwojem komunikacji nastanie nowa pomyślniejsza era w życiu kolonii. W każdym razie już obecnie nawet, dzięki zbudowanej linii kolejowej, byt i rozwój naszych kolonii w Paranie można uważać za zupełnie zabezpieczony.

Stefan Łaganowski.





Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Baublis.

Śmiertelne szczątki olbrzyma leśnego, o którego niepokoił się Mickiewicz („Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie wiekami wydrążonym, jakby w wielkim domie?...”) znajdują się w ziemi Rosieńskiej nad rzeczką Pełą we wsi Bijaty. Nie żył już — rzecz prosta — Baublis wtedy, gdy się o niego wieszcz narodu pytał, skoro już był wiekami tak głęboko wydrążon; — był on już tylko truchłą olbrzymiego organizmu, który przeżył setki kroków proroczych wieści gminnej, ruiną świętą arki przymierza między starymi i młodeymi laty, przepalonym i zmurszałym ołtarzem myślowej bajecznej przędzy i uczuć kwietnych popiołów. Ze świętego ongi dla milczących wojów Skirwojłowych drzewa uczyniono z biegiem czasów zmiennych takie oto dwie — podobne do olbrzymich grzybów altanki ogrodowe — opatrzone daszkami od deszczów i podwalinami od przewrócenia, oknami i drzwiami od przeciągów dla ludzkiego dowcipu szkodliwych, — i sterczą one dziś w starym ogrodzie przy dworku, jak i para amonitów olbrzymich, przerobionych na żarna użytkowe. Wspom-

nienia świetnej z ducha przeszłości i kultu powtórzyły się w życiu pozagrobowym Baublisa tylko o tyle, że przez czas pewien służył on za schronienie (najzupełniej zresztą egzotyczne) pocie litewskiemu Poszkasowi (Paszkieviczowi) i że składano w nim rozmaitej wartości wykopaliska, szczególniej broń starą, litewską, dość obficie w okolicach prawdopodobnego uroczyska znajduwaną. Leżą tam i po dziś dzień jeszcze jakieś stare kirysy, hełmy i rozmaite inne rupiecie muzealnej przeszłości.

Stokroć ciekawszy jest — oczywiście — sam krajobraz — w którym Baublis tkwi indywidualnie — jak synteza fizyograficzna wszystkich danych.

Mimowoli, patrząc na ubogie lasanki, na znikomą szatę ogrodową, na siąpiącą tęsknie nurty płytkie rzeczkę, przychodzi na myśl owa pogańska dąbrowa ciemna, w uroczność tajemniczą sagi ludowej strojna, owo uroczysko pogańskie wszelkich zacznów i odczynień duszy narodowej, owa moc tajemnicza, jaką lud pierwotny z serdecznego współżycia z przyrodą kraju ojczystego czerpie. Bezbrzeżnie smutnie patrzy kraj ogołocony z lasów i dębów — diewajtisów (bożków), poobtykany krzyżami przydrożnymi i smutkialisami (kapliczki skrzynkowe na słupach) na ład cmentarny... Gdzie owa rycerska pieśń Baublisa pogan w noce ciemne z przysięgą zemsty krzyżakom w niebo lute litewskie ślana? Gdzie owa wieść gminna piłkalisów, smertkalisów, dróg podwodnych, ścieżek tajemnych leśnych, osmętnie tęsknotnych opowiadań przeszłości?... Milczy o tem ziemia rozorana, rozchlustana w bajory i siwe mokradła, kopczykami doczesności i własności poznaczona, pochutną walcą o czerstwy chleb powszedni na drobne rozmi-

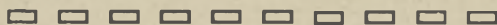


Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Dziś tylko historyk i krajoznawca do niej dumać przychodzi (pod Baublisem liczne towarzystwo szlacheckie tańczyło nie dawno polkę i jadło kurczęta, a zgrzane dziewczęta siadały na olbrzymim gnacie jurajskiego jaszczura, leżącym w ogrodzie). Może zresztą i dumać nie warto, bo życie ciągle i tak idzie naprzód i gdzie niema zamiaru roz-

czuć się nad swoją młodością. Wychodnia formacyi jurajskiej tu i owdzie widzialna tutaj pewnie Baublisów nigdy nie uważała za coś w stosunku do niej śmiesznego. Prawa życia i czasu są większe od Baublisów, a śmierć wszystkowiedna.

Konrad Chmielewski.



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



Pol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

3. Dwór w Złotej.

W powiecie pińczowskim, niegdyś wiślickim, leży w rozległej dolinie, na prawym brzegu rzeki Nidy, wieś Złota z pięknym starym dworem, liczącym już pewno około dwuchset lat istnienia. Złota w XV-ym wieku należała do rodziny Złockich herbu Półkozic, nabyta następnie w XVII-ym wieku przez Jana Wawrzyńca Wodzickiego, sekretarza J. K. Mości, pozostawała przez dwa z górą wieki w ręku tej znanej w dziejach polskich rodziny. Właścicielem Złotej był między innymi

Stanisław hr. Wodzicki, komisarz cywilno-wojskowy pow. sandomierskiego i wiślickiego w ostatnich latach istnienia Rzpltej, z biegiem lat prezes senatu wolnego Krakowa, w końcu senator-wojewoda Król. Kongresowego, autor znanego ciekawego pamiętnika.

Przed dziesięciu laty wnuk senatora-wojewody, Alfred hr. Wodzicki, sprzedał Złotą z przyległościami p. Aleksandrowi Olszowskiemu. Oprócz dworu Złota posiada także bardzo piękny zabytek budownictwa drewnianego w Polsce w postaci starego śpichrza z datą 1719 roku.



Lud polski na Górnych Węgrzech.

2)

Z jednej strony Słowacy uważają ludność polską obrządku rzymsko-katolickiego za swoją, z drugiej zaś Rusini reklamują Polaków obrządku grecko-katolickiego dla siebie, i dopiero gdy jedni z drugimi poczną się spierać o nie swoje, t. j. gdy Słowacy poczną dowodzić, że gwara ludowa nie jest ruską, a ci znowu wykazują, że gwara nie słowacka, wychodzi prawda na jaw, jak oliwa na wierzch z wody. Obie strony mają słuszość: narzecza i podrzecza ludowe—jest ich mnóstwo—nie są ani słowackie, ani ruskie, tylko w istocie rzeczy polskie, lubo tu i tam słowaczyna lub ruszczyna mniej lub więcej je zepsuła.

Stwierdza to Czech, dr. Pastrnak, piszący po niemiecku („Lautlehre der slovakischen Sprache“) „Tem bardziej zasługuje na uwagę okoliczność, iż pomiędzy kompleksami języka słowackiego a polskiego istnieje w całym szeregu faktów wspólność, chociaż pomiędzy zachodem a wschodem zachodzi znaczna różnica... Część wschodnia, mianowicie żupaństwa: Spiż, Szarysz, Ziemiń wykazują, pod względem głosowni, znamienne zjawiska: tert zamiast trrt, c i dz zamiast miękkiego t i d, zmiękczenie głosek s i z (ś i ź) ze stratą ilości, akcent na przedostatniej zgłosce... Wybitniej okazuje się wpływ polski w narzeczach żupaństwa Giemerskiego... W próbach narzeczowych giemerskich występuje brzmienie cz i dź zamiast miękkiego t i d; w południowej części tego żupaństwa, w Drienoczunach, słyszymy nawet drugorzędne brzmienie nosowe... W szczególności dowodzi gwara w Pogoreli, mniej gwara w Szumaczu—obie miejscowości leżą na południowym stoku Kralowej Holy—że to polskie osady.

Podług Niemcowej (pisarki czeskiej) występuje nawet w gwarze okolic miasta Zwolenia (Neusohl) i na południu żupaństwa Zwoleńskiego c i dz zamiast miękkiego t i d. Na zachodzie słabnie wpływ polszczyzny. Na Orawie jeszcze teraz mówią czysto po polsku; także północne części żupaństwa Trenczyńskiego posiadają gwarę, która jest bliższą polszczyzny, aniżeli słowaczyny. W południowo-zachodniej części Trenczyńskiego, w żupaństwie Nitrzańskim i Preszburskiem znajdują się także pojedyncze ślady polszczyzny, mianowicie c i cz.

Znamiona polszczyzny ujawniają się nie tylko wybitnie prawie we wszystkich gwarach słowackich, lecz przechodzą przez Beskidy i Białe Karpaty do narzeczy morawskich, mianowicie do narzeczy morawsko-słowackich, gwary hunackiej, wałaskiej i

luckiej, do ostatniej zaś w tej mierze, iż można by poczytać ją za polską.

Szembera w „Dialektologii“ stwierdza znamiona polszczyzny w staro-morawskim języku, przytaczając z dokumentów dziejowych wyrazy: „radosci“ (po czesku: radosti), „Marczyn poszczici sye“ (po czesku brzmiałoby to: Martin posztiti se‘), „używaczy“ (po czesku: uzi-vati), „dzyed“ (po czesku: diad), „porodzyła“ (po czesku: porodila) i t. d.

Powyższe przytoczenia potwierdzają przypuszczenie, że Słowaczyna i Morawy posiadały pierwotnie zaludnienie polskie, a jeśli pisarz słowacki Križko pisze: „O żywiole polskim rozprzestrzeniającym się w północnych częściach żup: Szarysz, Spiż, Orawa i Trenczyn nie wiadomo nic, kiedy ten żywioł osiedlił się na słowackim uziemiu“—stwierdza tem pierwotność ludu polskiego na Górnych Węgrzech, gdzie w ogóle panuje nadzwyczajny chaos gwarowy, gdzie właściwie niema granic językowych pomiędzy polszczyzną, słowaczyną a ruszczyną, i gdzie jedna gwara przechodzi stopniowo i niepostrzeżenie w drugą. Zepsucie gwarowe jest tu powszechne. Udziela się ono w równej mierze wszystkim gwarom krajowym. W takich stosunkach może narodowa ekspansywność łatwo robić zdobycze, wobec czego miejscowa ludność polska, zapomniana i porzucona przez własny naród, nie posiadająca oświaty i uświadomienia narodowego, przedstawia bierną masę, której jedyną siłą odporną jest jej zachowawczość t. j. miłość rodzimego języka oraz starych zwyczajów i obyczajów.

Czesi uważają całą Słowaczynę za swoją domenę, czemu głośny też dają wyraz. W szczególności co do gwar wschodnio-słowackich musi się to każdemu ich znawcy wydawać uroszczeniem nielada. Wygląda to tak, jak gdyby np. Anglicy reklamowali dolno-niemieckie narzecza „platt“ jako swoje. Gwary te nie mają z czeszczyzną bliższej wspólności, a nawet gwary środkowo-słowackie, lubo fonetycznie zbliżone do czeszczyzny, gramatykalnie i leksykalnie daleko bliższe są polszczyźnie. Sami Słowacy założyli przeciw tej czeskiej ekspansywności protest, utworzywszy w latach czterdziestych zeszłego stulecia własny język piśmienny, który wyparł z ich piśmiennictwa zagnieżdżoną od wieków czeszczyznę.

Za wspólnością szczepową Słowaków z Polakami w okresie, kiedy Polacy i Czesi byli już narodowo zróżniczkowani, przemawia wiele objawów. Przeważająca część gwar słowackich posiada stanowczo podkład polski, nie czeski, nawet tu i

owdziej z polskim akcentem na przedostatniej zgłosce a polskie brzmienie c zamiast czeskiego miękkiego t i dz zamiast czeskiego miękkiego d, miękczienia znamienne dokonane w polszczyźnie późniejszą ewolucją językową, głównie pomiędzy połową XIII a XIV, dowodzą, iż do tego czasu rozwijała się Słowaczyna narodowa wspólnie z Polską. W tym czasie mniej więcej wdarł się na Górne Węgry język czeski, który odtąd zapanał wyłącznie w piśmiennictwie, szkołach i w kościołach słowackich, lecz, mimo panowania swego na Słowaczynie przez pół tysiąca lat, nie zdołał zatrzeć brzmień polskich. Gwary ludowe słowackie posiadają bowiem, prócz c zamiast t i dz zamiast d, jeszcze polskie brzmienia: ł, c, ś, Ń, dz i dź, ż a nawet odpowiedniki nosowych samogłosek om, on, em, eu, im, um, i un, a nawet tu i owdziej g, zamiast czeskiego h, chociaż h, zamiast g, napotyka się często także w sąsiedniej gwarze polskiej. Piśmienny język słowacki, wzorowany na czeszczyźnie, daleko więcej oddalony jest od polszczyzny, niż gwary ludowe. Podstawę jego tworzy wprawdzie środkowo-słowacka gwara ludowa żupaństwa Turczańskiego, lecz pisownia czeska, żywcem przyjęta w słowackim języku piśmiennym, nie jest w stanie oddać powyżej przytoczonych brzmień polskich, których nie mało znajduje się nawet w gwarze turczańskiej, bardzo zbliżonej do polszczyzny. Miałem sposobność przekonać się o tem na miejscu, bawiąc w Turczańskim Św. Marcynie, duchowej stolicy Słowaczyny. Przecho- dząc się po mieście, spostrzegłem przy jednym sklepie wywieszoną tablicę z następującym napisem: „Zpośrodkuje osadzanie obrazow do ramow okładanie za szkło a naprawianie obrazow lacno a rychło“.

To prawie po polsku, zwłaszcza iż lud w okolicy wymawia wyraźnie ł i wyrazy: „okładanie“ „szkło“, „lacno“ i „rychło“ czytać należy „okładanie“, „szkło“, „łacno“ i „rychło“.

Gdy później odczytałem jednemu z przewodców narodowych ten napis z uwagą, że brzmi prawie po polsku, a tylko wyraz „zpo- sredkuje“ brzmiałby po polsku: pośredniczy, zagadnięty przezemnie uśmiechnął się i odparł:

— Właśnie ten jeden wyraz tylko zaczerpnięty z naszego języka piśmiennego, wszystko zaś inne pochodzi z miejscowej gwary ludowej.

Dodać trzeba, że polszczyzna nie wywierała wpływu na gwary słowackie, nawet w tej części

Spizu, który należał do Polski, co stwierdzają sami pisarze słowaccy.

Prócz polskiego podkładu, w gwarach słowackich wogóle silnie się ujawniającego, przemawiają za pierwotną plemienną jednością Słowaków z Polakami inne jeszcze ważne względy. Po obydwóch stronach gór, na polskiej i słowackiej stronie jedne i te same zwyczaje i obyczaje, jeden i ten sam typ ludowy, niemal ten sam folklor. Spostrzegamy tu i tam wspólne przysłowia, wspólne pieśni i podania. Zbójnik-bohater Janosik żyje po obydwóch stronach Tatr.

To też w niedostępnych, skalnych, dziewiczymi lasami porośniętych górach, wśród kamiennych turni, kędy nie prowadziły szlaki zdobywców, jako też obcych wpływów cywilizacyjnych—utrzymało się najwięcej pierwotności w gwarze, w zwyczajach i obyczajach—tu tylko, w ognisku Białej Chrobacyi, w Tatrach, o których pieje poeta słowacki Zaboj Hostinsky:

Czym ste w prawiekach boły Tatry nasze?
Koliskou narodom.

.....
Czo wasze wichry, bleski, wody, szумы?
Chory pieśni ludu.

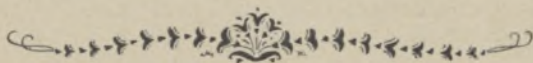
Można otrzymać odpowiedź na pytanie: jakim mógł być wspólny język pierwotny tych ziem, odpowiedź, iż tym językiem mogła być tylko latorośl polszczyzny.

W gwarach górali tatrzańskich, jako też w ogóle w narzeczeniach środkowo i wschodnio-słowackich nie dostrzega się podstawowych śladów czeszczyzny, a jeśli tu i owdziej spotkać można ślad taki, to napewno jest on tylko naleciałością z czasów panowania czeszczyzny na Górnych Węgrzech.

Bardzo znaczącym i znamionym objawem pod tym względem są wyraźne ślady polszczyzny w gwarach ludowych na Morawach, które od wieków są narodowo zespolone silnie z Czechami i nigdy nie ulegały wpływowi polskiemu, z czego wynika, iż śladów polszczyzny w gwarach morawskich nie można poczytywać za co innego, jak za stare zabytki pierwotności języków, zwłaszcza, iż staro-morawska gwara, jak już powyżej nadmieniałem, wykazuje znamienne właściwości polszczyzny, nie zaś czeszczyzny.

(d. c. n.)

G. Smólski.



POMNIK CZARNIECKIEGO W TYKOCINIE.

Stefan Czarniecki, ożeniony z Zofią Kobierzycką, nie miał synów, tylko dwie córki: Aleksandrę Katarzynę, która poszła za Jana Klemensa Branickiego, marszałka nadwornego koronnego (z czasów króla Jana Kazimierza), i Konstancję, zamężną za Opalińskim, wojewodą podlaskim.

wodzianką mazowiecką, siostrą króla Stanisława, pragnąc uczcić pamięć wielkiego pradziada, postawił mu w dziedzicznym Tykocinie pomnik na rynku, przed kościołem księży misyjonarzy, którego pierwiej w roku 1740 był także fundatorem. Na pomniku (wyobrażającym bohatera w ferezyi czyli szu-

bie rycerskiej, z buławą w ręku) niemasz wcale daty postawienia monumentu, ale z napisów, wyliczających urzędy fundatora, określić można dokładnie, że pomnik stanął pomiędzy rokiem 1755 a 1760. Branicki powierzył jego wykonanie najlepszemu rzeźbiarzowi, jaki osiadł wówczas w Warszawie, francuzowi Deloné. Ten podług dostarczonego mu portretu ulepił najprzód popiersie Stefana Czarnieckiego z gliny i zaprosił Branickiego oraz wiele innych osób do obejrzenia. Gdy przyznano jego pracy zalety, przystąpił do wykonania jej w kamieniu szydłowieckim. Model ów z gliny i portret znajduje się obecnie w zbiorach jeżewskich Zygmunta Glogera pod Tykocinem. Portret powyższy był pierwotnie własnością Aleksandry Katarzyny Branickiej, córki Stefana Czarnieckiego, i był przechowywany w pałacu białostockim, który po śmierci wdowy po Janie Klemensie Branickim wraz z Białymstokiem w r. 1810 przeszedł na własność rządową. Jan Gloger (ojciec Zygmunta) około r. 1850 nabył z pałacu biało-

stockiego kilkanaście cenniejszych obrazów, na których suszono wówczas na poddaszu pałacowem krochmal domowej roboty. Wśród tych obrazów znalazł się portret powyższy i wiele innych pamiątkowych malowideł.

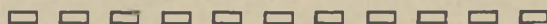
Pomnik tykociński przed laty kilku został gruntownie odnowiony kosztem hr. Stefana Potockiego, dziedzica dóbr Roś w ziemi Grodzieńskiej.

Z. G.



POMNIK STEFANA CZARNIECKIEGO W TYKOCINIE. *Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.*

Starostwo Tykocińskie, darowane przez Rzeczpospolitą Czarnieckiemu, wzięła w posagu, po śmierci ojca Aleksandra, Katarzyna Branicka. Syn jej, Stefan Branicki, był wojewodą podlaskim i założył rezydencję w Białymstoku na Podlasiu. Syn zaś Stefana, noszący te same imiona, co dziad jego, Jan Klemens, (urodzony w r. 1689, zmarły w r. 1771) kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, ożeniony w starości z Izabellą Poniatowską, woje-



W obozie nieprzyjaciół.

IV. Na morzu.

20 basenów, jeden do dwóch kilometrów długości a 150 do 250 metrów szerokości każdy—oto jest port hamburski. W basenach—dwa, czasem trzy rzędy okrętów; inne stojące po środku, przy wiązce grubych palów drewnianych, las masztów, kominów, żurawi i wind, które co kilka czy kilkanaście metrów pochylają swe długie i smukłe ramiona nad stojącymi u brzegu statkami i czerpią stamtąd wszystko bezmała, co produkuje świat cały.

Więc drzewo szwedzkie, zboże rosyjskie albo rumuńskie, kozy, wina i owoce portugalskie, bawełny, tytonie, mięsa, tłuszcze amerykańskie, kawy i cedry meksykańskie, ryże indyjskie, kawy i skóry brazylijskie, ekwadorskie, wenezuelskie, najprzeróżniejsze osobliwości Korei, Chin, Siamu, Australii czy Indii angielskich. Słowem wymarzone miejsce dla pogładowej nauki geografii i towaroznawstwa handlowego.

A teraz ile to wszystko waży i ile kosztuje? Otóż w 1905 r. ogólny wywóz i wwóz portu hamburskiego wynosił: na wagę—21 milionów tonn, na wartość—11 miliardów franków. A że wszelka, nawet najbardziej jaskrawa cyfra, nabiera właściwego smaku i barwy dopiero w porównawczym zestawieniu z innymi pokrewnymi cyframi, przeto zanotujemy, że w tym samym 1905 roku cztery największe porty francuskie—Marsylia, Havre, Dunkierka i Bordeaux—osiągnęły razem wspólną cyfrę obrotu: 12 milionów 300 tysięcy tonn i 6 miliardów franków. Nieco więcej zatem, niż połowa obrotu Hamburga, który już dogania Londyn i który wkrótce ma nadzieję być drugim po New-Jorku.

Jeszcze bardziej może wymownem będzie zestawienie terażniejszych obrotów Hamburga z jego obrotami z przed lat 50, z czasów, kiedy wszystkie towarzystwa przewozowe hamburskie miały zaledwie 17 parowców i kiedy zainaugurowaną została linia Hamburg—New-Jork. W tym właśnie pamiętnym roku 1856 Hamburg sprowadzał morzem za 4 miliony 625 tys. franków zboża, dziś (w 1905)—za 322 miliony; wełny za $9\frac{3}{4}$ milionów—dziś za 224 miliony; bawełny za 29 milionów—dziś za 138 milionów; za to maszyn wywoził wówczas za $\frac{1}{4}$ miliona, dzisiaj zaś wywozi ich za 106 milionów, cukier z 3 milionów 375 tysięcy skoczył do 281 milionów, a wyroby dziane, nie wspomniane podówczas wcale, dzisiaj sięgają 60 milionów.

Bardzo znaczna część towarów, przeznaczonych do zamorskiego wywozu, przychodzi do portu

Elbę. 43000 statków rzecznych, statków, z których niektóre dochodzą do 1000 tonn objętości, t. j. zawierają w sobie tyle ładunku, co dwa pociągi po 40 wagonów każdy, spływają co rok po Elbie ku morzu, zwożąc wyroby Berlina, Drezna, Lipska, Hanoweru, Harcu, nawet Czech. Tyleż prawie idzie drogą powrotną od Hamburga we wszystkie zakątki Niemiec.

Pewna—także niepoślednia—część materiałów, przywożonych morzem, przerabia się na miejscu, w hamburskich fabrykach i rozsyłaną bywa we wszystkie strony świata, czasem tam właśnie, skąd je w surowym stanie przywieziono. Ten, jeżeli nie bardzo logiczny, to zwykowny proceder ułatwia istnienie w Hamburgu wolnego portu. Miasto to, jak wiadomo, jest po dziś dzień rzeczospolitą, zarazem jedną z części składowych—na równi z Bawaryą, albo Prusami—cesarstwa niemieckiego. Jako takie, do niedawna miało swoją odrębność nie tylko polityczną, ale i celną. Po długich i zmudnych obliczeniach ojcowie miasta doszli do przekonania, że im się ta samodzielność niebardzo opłaca, i, warując sobie dalszą odrębność prawnopolityczną, wstąpili do związku celnego państw Rzeszy Niemieckiej. Ale z ogólnego terytorium portu i miasta wydzielony został obszar jakichś 1000 hektarów z 30000 mieszkańców, z kilkoma basenami i z olbrzymimi, zbudowanymi kosztem stu milionów, składami, do których niema przystępu żadna władza celna. To jest właśnie—wolny port.

Towary przywiezione zza morza mogą być albo wwiezione w głąb Niemiec, za opłatą cła oczywiście, albo odesłane, gdzie się ich właścicielowi zamarzy, bez cła i bez żadnej interwencji ze strony państwa. Ostatnimi czasy w obrębie samego wolnego portu budują coraz więcej fabryk—wobec czego i granice jego ulegają rozszerzeniu—które na miejscu przerabiają te surowe i nieoczone płody, jakie są przeznaczone dla obcych.

To jest także jeden z sekretów powodzenia miasta, które rośnie, jak gdyby chciało zagarnąć dla siebie handel i przewóz całej Europy. Ale tylko jeden z wielu sekretów. W istotnej treści swojej jest to ta sama kategoria zjawisk, ten sam rozpęd i ekspansja rzeczy materialnych i ich duchowego podkładu, któreśmy widzieli w produkcji żelaza, w fabrykach chemicznych, w budownictwie i organizacyi miast. Tylko, że tu, w tym olbrzymim zlewie zewnętrznym ogólnoniemieckiej działalności, widzi się te rzeczy już jakby podsumowaną i przez to widzi się je lepiej, a zwłaszcza lepiej się je odczuwa. I lepiej też ocenia się trudności, jakie były do przełamania, żeby zostać



zwycięzcą nietylko u siebie w domu, ale i na najbardziej odległych rynkach światowych, gdzie sasiad-konkurent i wróg zasiedziały się był już od wieków,

W szeregu sprzężyn i dźwigni, jakimi posługiwał się Hamburg w tej walce, dwie zasługują na szczególne wyróżnienie. Pierwsza — to organizacja handlowa. W zasadzie nie jest ona i nie może być inną, aniżeli na całym świecie — bo pewne rzeczy i sposoby działania już oddawna przez wszystkich zostały teoretycznie uznane za najlepsze — ale w istocie nawet w Niemczech, zatem w kraju, który dziś coraz bardziej staje się krajem handlarzy, trudno spotkać coś bardziej doskonałego.

Hamburg żyje z pośrednictwa, jest olbrzymim pośrednikiem pomiędzy wszystkimi pięcioma częściami świata. Kantory i faktorye niemieckie rozrzucone tak dobrze na chińskich wybrzeżach, jak w Południowej Afryce lub Australii, zwracają się do domów hamburskich z zapotrzebowaniem na niezliczone szeregi przedmiotów, które chcą sprzedawać na miejscu. Te szeregi są tak nieskończenie długie i zawierają tak różnorodne artykuły, mieszczą w sobie przytem tyle ludzkich upodobań, tradycji, przesądów, grymasów, że najbardziej biegły i rutynowany kupiec nie byłby w stanie odszukać w swojej pamięci, gdzie jaki towar można najprędzej i najtaniej nabyć, aby odwrotną pocztą zadowolnić swojego klienta i tłumy jego odbiorców na drugim końcu świata. Od tego jest Biedermann.

Są to trzy wielkie tomy, po 1000 stron każdy, z wyszczególnieniem wszystkich możliwych towarów, jakie się w Niemczech i po za Niemcami wyrabiają, i z podaniem agenta, który daną fabrykę reprezentuje w Hamburgu. Wystarczy rozmówić się z nim telefonicznie, a w ciągu paru godzin ma się u siebie, w biurze, do dalszego użytku na towary, o których się przed chwilą nie wiedziało, że istnieją na świecie, szczegółową ofertę, wzory, próbki, cenniki. Rzecz jest załatwiona — obroty handlowe Hamburga wzrosły o kilka czy kilkanaście tysięcy.¹⁾

Jeżeli to nie wystarcza, są jeszcze do dyspozycji muzea — wystawy. Istnienie swoje zawdzięczają zwykle firmom prywatnym, które postanowiły zogniskować w swem ręku pewną gałąź wytwórczości, dajmy na to artykułów spożywczych. W tym celu zbierają nietylko w Niemczech, ale po całym świecie wszystko, co jest w tej dziedzinie najlepszem, najtańszem i najpraktyczniejszym.

¹⁾ Tego rodzaju wydawnictwa istnieją, oczywiście, wszędzie. Cała rzecz polega na wyjątkowo sumiennych informacjach i wyjątkowo szybkiej obsłudze.

Uwzględniają opakowania i konieczność modyfikacji ich przy bardziej znacznych odległościach, albo przy przewozie wodą. Biorą pod uwagę, że pewne przedmioty lubiane, albo odpowiednie w Norwegii będą odrzucone albo będą miały się z celem na wyspach Kanaryjskich. Potem wszystkie te próbki, wzory, opakowanie w tysiącnych odmianach i gatunkach zbierają w jednym lokalu i dodają do tego tak zwany neutralny cennik t. j. spis przedmiotów, bez wymieniania ich pochodzenia, a niekiedy i ceny nawet, co pozwala odbiorcy posługiwać się nim bez zdradzania źródła pochodzenia, i, z drugiej strony, bez wiadomości, skąd właściwie pochodzi towar, który nabywa. Że odbiorca taki, zamiast błąkać się za zakupami od Konstantynopola do Sztokholmu, a chociażby od jednego końca Hamburga do drugiego, woli załatwić interes w jednym miejscu i z jedną osobą — to jest jasne. Pomysł jest dziecinnie prosty i łatwy, ale wprowadzenie go w życie i podniesienie do pewnej doskonałości kosztowało, jak w tym wypadku 14 lat zabiegów, poszukiwań i nawrotów dla poprawienia błędów.

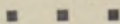
Drugą wielką dźwignią Hamburga są towarzystwa przewozowe. W tej dziedzinie królowali do niedawna niepodzielnie Anglicy. Dzisiaj, nie mówiąc już o towarach rosyjskich, belgijskich czy francuskich, nawet towary angielskie przewożone są w znacznej części przez ocean na okrętach niemieckich. Najstarszem z towarzystw hamburskich jest założone w 1847 przez 40 kupców miejscowych towarzystwo Hamburg-Ameryka. Początkowy kapitał wynosił 580 tysięcy franków i użyty był całkowicie na zakup 3 żaglowców; parowcom Niemcy nie chcieli jeszcze zaufać, chociaż Anglicy używali ich od lat 10. Były to na swój czas wielkie potwory morskie, zabierające 220 pasażerów i 700 tonn towaru i potrzebujące 42 dni, oby dojechać do New-Jorku. Dziś jeden jedyny parowiec tegoż samego towarzystwa zabiera od razu 25000 tonn (ładunek 50 pociągów po 40 wagonów każdy) i robi 5 przejazdów tam i z powrotem na kwartał, może zatem w ciągu roku przewieźć tyle, ile pierwotna flota towarzystwa przewiozłaby w ciągu 80 lat. Oprócz tego jest w samym Hamburgu 40 innych towarzystw przewozowych, i jest w Bremie słynny Północno-Niemiecki Lloyd, który nietylko depcze po piętach towarzystwu Hamburg-Ameryka, ale je nawet bije niekiedy.

Jeżeli się doda i podkreśli fakt, że oprócz opłaty za przewóz poczty, żadne z tych towarzystw nie pobierało subsydyów rządowych, że obsługują one nietylko Amerykę i najodleglejsze zakątki Azji i Afryki, ale te nawet linie, które z natury rzeczy przypadać powinny w udziale komu innemu (wycieczki wzdłuż brzegów Riwiery),



jeżeli się zanotuje, że w ciągu swojej 60 letniej kariery T-wo Hamburg-Ameryka zakupywało całe towarzystwa konkurencyjne razem z ich taborem, a Lloyd przewozi 50% emigracji europejskiej—trzeba przyznać, że w tym właśnie punkcie Niemcy współczesne doszły bodaj do szczytu.

Więc też na uragilwie sterczącym wsamym sercu Londynu, pod bokiem starych kompanii angielskich, gmachu Towarzystwa Hamburg-Ameryka czerni się wyzywająca jego dewiza: Mojem polem jest świat (Mein Feld ist die Welt). Jest w tem pycha, buta, nawet arogancja dorobkiewicza, to pewna; ale, co najwięcej, musi być dla anglików drażniącym — jest też prawda.



Nowe książki.

*Kalendarz Ziemi Łowickiej (Łowicz, 1910).
Wydanie Oddziału Łowickiego Towarzystwa Kultury Polskiej (str. 205). Cena 50 kop.*

Był czas, że dla prapradziada naszego w modrzewowym dworze kalendarz był alfą i omegą wiedzy, że z niego czerpano całe uświadomienie, a ufano bezwzględnie, nawet gdy dawał zapowiedzi pogody na każdy dzień roku, głosząc z delficką tajemniczością: „28 Marca deszcz, okolicami śnieg“.

Dziś rola kalendarza zeszała do bardziej podrzędnego znaczenia: wymaga się od niego jaknajwiększej sumy informacji, ułatwiających orientowanie się w różnych sprawach życiowych i dla tego wszelki t. zw. „dział literacki“ uważać należy za przestarzały balast, obliczony na zwiększenie pokupu wśród mało wybrednej publiczności.

Natomiast wielce przyklasnąć należy zwyczajowi wydawania kalendarzy prowincjonalnych, mieszczących w sobie kronikę życia miasta, czy ziemi, oraz znaczną sumę wiadomości miejscowych, statystyki, informacji, sprawozdań i t. p., któreby zaginęły bezpowrotnie dla ogółu, gdyby nie dostały się na łamy jakiegoś wydawnictwa.

De takich wartościowych wydawnictw należy zaliczyć kalendarz ziemi Łowickiej, posiadający obszerny dział informacji o tej ziemi, mieści bowiem i rys historyczny ks. Łowickiego, i wykaz fabryk, i firm handlowych (szkoda że bez danych o obrocie i liczbie pracowników), następnie b. ciekawy dział III o stanie kultury, gdzie mieszczą się wiadomości: o szkolnictwie w mieście i we wsiach, czytelnictwie, liczbie i jakości pism prenumerowanych, wiadomości o muzeach Wł. Tarczyńskiego i Ziemi Łowickiej, stowarzyszeniach, dobroczynnościach, gospodarstwie administracyjnym, komunikacjach, pocztach i telegrafach, wiadomości o rol-

Nie dla próżnej chwalby narodu, z którym nas dziś nic, prócz niechęci, nie łączy, opisane zostały dzieje i rezultaty pracy, poczętej niegdyś dla utrzymania bytu, teraz dążącej do panowania nad światem. I nie dla wyprowadzenia stąd nauk, wskazań czy przestróg—to rzecz polityków i statystów. Ale przedewszystkiem—dla ustalenia skali porównawczej niektórych form życia współczesnego w ich najdalej posuniętym rozwoju. Z niej krajoznawca polski brać może miarę, która przy badaniu własnych stosunków zastosowana ochroni go od niejednego złudzenia i od niemniej częstego zniechęcenia.

St. Th.

nictwie, przemyśle i handlu. A wszystko poparte cyframi, czerpaniami bezpośrednio ze źródeł, a więc b wartościowymi.

Cyfry te mają swoją tragiczną wymowę:

na 100 mieszkańców ilość listów wysyłanych rocz. wynosi:

w Szwajcaryi	8570
w Niemczech	6000
w Ziemi Łowickiej	300!

na 100 mieszkańców ilość wystanych depesz wynosi:

w Anglii	214
w Szwajcaryi	141
w Ziemi Łowickiej	4!

Budżet miasta Łowicza wydaje na administrację 35%, a na szkoły i zakłady dobroczynne 12%.

Dzielny chłop Teofil Kurczak w dziale „Sadownictwo“ nawołuje do zakładania nie tylko sadów koło chat, lecz „ogrodów polnych“, marząc by całe księstwo Łowickie w jeden wielki sad owocowy zamienić, „bogactwo krajowe ogromnie się powiększy, a wtedy przyjdzie Królestwo Boże na ziemię“. „Trzeba raz nam wyjść z tego deptaka gnuśności i zdobywać coraz nowe drogi gospodarowania“.

Dział społeczno - literacki jedną część poświęcił rocznikom Słowackiego i Grunwaldu, drugą—rzeczowym i wysoce wartościowym artykułom o kooperatywach, szpitalnictwie, komecie Halley'a i wierzeniach ludowych. Wskazówki i przepisy o ustawach spółek rolniczych, ubezpieczeniach, nawozach sztucznych, cholera i ospie kończą ten doskonały, pod każdym względem, kalendarz prowincjonalny, a mapa powiatu Łowickiego uzupełnia wydawnictwo.

Dobrze zastąpił się i okolicy i krajowi Łowicki Oddział Tow. Kultury Polskiej, wydając pierwszy Kalendarz Ziemi Łowickiej.

Al. Jan.

Kronika Krajoznawcza.

+ W W. Ks. Poznańskim dwie znaczne ordynacje polskie przeszły w ostatnich latach w ręce niemieckie; Obrzycko w pow. Szamotulskim, obszaru 4.793 hektarów, które dostało się w ręce ziemczonyj zupełnie i protestanckiej linii hr. Raczyńskich, oraz księstwo Rydzynskie, obejmujące w pow. Leszczyńskim i Rawickim 12.332 ha. Ta ostatnia ordynacja stała się po śmierci ks. Antoniego Sułkowskiego, ostatniego z rodu, własnością rządu pruskiego, a właściwie prowincjonalnego kolegium szkolnego w Poznaniu, jako uznanego przez sądy pruskie prawnego spadkobiercy Polskiej Komisji Edukacyjnej, na którą twórca ordynacji zapisał Rydzynę w razie wymarcia jego bezpośrednich potomków.

Obecnie jest w Poznańskim 8 majoratów polskich i 1 minorat, a mianowicie:

1) hrabstwo Przygodzickie (ordynat książę Ferdynand Radziwiłł) wynoszące w powiecie Odolanowskim 8727 hektarów i w powiecie Ostrowskim 6835 ha, razem 15562 ha.

2) dobra Lwówek (fideikomis) w pow. Nowotomskim, obszaru 3077 ha, właściciel Stefan Łacki.

3) dobra Taczanów w pow. Pleszewskim obszaru 3702 ha, ordynat Antoni Taczanowski.

4) Będlewo w powiecie Wschodnio-Poznańskim (fideikomis) obszaru 2731 ha, właściciel Józef Potocki.

5) Wróblewo w pow. Szamotulskim obszaru 4007 ha; właściciel hr. Zbigniew Węsierski-Kwilecki.

6) Próchnowo w pow. Chodzieskim obszaru 3400 ha., właściciel hr. Zygmunt Potulicki-Skórzewski.

7) Czerniejewo w pow. Witkowskim, obszaru 6454 ha, właściciel hr. Zygmunt Skórzewski.

8) Kobylniki w pow. Szamotulskim obszaru 822 hektarów, właścicielem jest p. Tadeusz Twardowski.

9) 1 minorat polski. Minoratem tym jest Niegolewo w powiecie Grodzkim, obszaru 822 hektarów, własność p. Stanisława Niegolewskiego.

Razem więc mamy w całym Księstwie 8 polskich majoratów i 1 minorat, obszaru ogółem 37948 ha., czyli około 150 tysięcy morgów magdeburgskich.



+ Dr. Józef Fruziński z Konstantynopola podaje w „Słowie Polskiem“ ciekawe szczegóły o założonej w r. 1842 przez Adama ks. Czartoryskiego na azjatyckim brzegu Bosforu wsi polskiej *Adampolu*.

Prawdziwy, racjonalny rozwój kolonii—pisze dr. F.—datuje się od 1890 roku. Jeden z Polaków, zamieszkałych w Konstantynopolu, p. Franciszek I—ski, znany powszechnie pod nazwą konsula polskiego, zajął się go-

rażąc losami tej kolonii. Pan Franciszek I—ski, wielki patriota, zacny i uczynny człowiek, nie szczędził ani swej pracy, ani grosza, aby kolonistom polskim przyjść z pomocą. Za jego to wskazówkami i za jego to radą powstały na kolonii ładne domki wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Przy każdym z tych domków znajduje się ładny ogródek z drzewami owocowymi, i widać się gdzieś pasieki. Każdy z kolonistów ma prawo do wspólnego lasu. Kilku z zamożniejszych kolonistów wybudowało małe hoteliki, gdzie liczni turyści, przybywający letnią porą z Konstantynopola, mogą wygodnie przeczekać i spożyć niezłe śniadanie i obiad za niewielką opłatą. Szczególniej w ostatnich latach „Poloneskeny“ (po turecku „Polska wieś“), jak powszechnie zwą tę polską kolonię, była licznie uczęszczana przez turystów z Konstantynopola.

Kolonia ta liczy po dzień dzisiejszy blisko 200 dusz, formując gminę, na czele której stoi „muchtar“ (po turecku wójt), obrany przez kolonistów i zatwierdzony przez „walego“ (gubernatora). Pod względem administracyjnym należy do wilajetu konstantynopolskiego i do „caza“ (powiatu) Bejkos. W ostatnich czasach z powodu znacznego napływu przyjezdnych został wybudowany tamże „karakuł“ (posterunek policyjny). Adampol kościoła nie posiada, chociaż odpowiedni fundusz w drodze składek zebrany i zdeponowany został w banku „Crédit Lyonnais“. Przed kilku miesiącami przyjechał z Rzymu pewien kapłan, utrzymywany przez propagandę, i spełnia służbę bożą w jednym z domów, na ten cel przybranych. Poza kolonią leży cmentarz. Szkoła, t. j. budynku specjalnego na szkołę, kolonia nie posiada, lecz tylko działwa zbiera się w domu nauczyciela kilka razy tygodniowo, gdzie jej początki elementarne są udzielane.

Ażeby się dostać do Adampola (nazwa ta używana jest tylko przez Polaków), trzeba pierwszym siałkiem z rana, o godz. 7, wyjechać z Konstantynopola do Bejkosu, gdzie się jest około godz. 8 i pół, a stamtąd wózkami lub wierzchem na koniu jedzie się dobre dwie godziny. Z powrotem trzeba z takim wyrachowaniem czasu wyjechać z kolonii, ażeby w Bejkosie trafić na ostatni statek, odchodzący do Konstantynopola.

Co się tyczy położenia geograficznego, to kolonia polska wznosi się 400 metrów nad powierzchnią morza. Odwieczne lasy, które się w bliskości znajdują, jak również morze, wpływają w porze letniej bardzo dodatnio na stan klimatu. Las składa się z buków, dębów, orzecha i kasztanów jadalnych. Jest dosyć dzikiego zwierz, jako to: dzików, wilków i szakali, które naszym kolonistom nieraz figle płatają. Całość robi bardzo przyjemne wrażenie i przypomina wielce Iwoniec.



TREŚĆ: Dr. Ludomir Sawicki — „Organizacja pracy krajoznawczej w Finlandyi“; Al. Janowski — „Okolice Warszawy“ — I; Stefan Łaganowski — „Kolonie polskie w Paranie“; Konrad Chmielewski — „Baublis“ (z 2 ilustr.); Dwory, zamki i pałace — 3. „Dwór w Złotej“ (z 1 ilustr.); G. Smólski — „Lud Polski na Górnych Węgrzech“ (c. d.); Z. G. — „Pomnik Czarnieckiego w Tykocinie“ (z 1 ilustr.); St. Thugutt — „W obozie nieprzyjaciół. IV“; — Nowe książki. Kronika Krajoznawcza. Ilustracje po za tekstem: „Typ z pod Buska“; „Wisła przy ujściu Świdra“ — *Wł. Nałęcz*.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i S-ki — Składał i łąkał Stefan Turobojski — Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pillycy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.